

Demo-farsa

3 stycznia 2010

Z demokracją jest jak z seksem. Im więcej się o nim mówi, tym mniej z tego wynika. Choć żyjemy w kulturze przesyczonej erotyzmem – od billboardów i teledysków po tematykę prac naukowych – to raporty seksuologów dowodzą, że faktycznego, jak to kiedyś mówiono, obcowania płciowego jest obecnie mniej niż na przykład w pruderyjnych latach pięćdziesiątych. Nie inaczej dzieje się z demokracją.

Niewielu powie wprost, że są przeciwni władzy ludu. Poza garstką zwolenników Janusza Korwin-Mikkego i jeszcze mniej licznych prawicowych, elitarystycznych grupiek albo – dla odmiany – pogrobowców „lewych” totalitaryzmów, mało kto wyraża bez „ściemniania” niechęć wobec ludowładztwa. Wręcz przeciwnie, wszechobecne są slogany o demokracji oraz pochwały społeczeństwa obywatelskiego. Trawestując znany dialog dwóch łódzkich fabrykantów z „Ziemi obiecanej”, można rzec: Myśl dużo o demokracji i podmiotowości ludu – to nic nie kosztuje.

Ba, jest jeszcze lepiej, to znaczy gorzej. Dziś tzw. wspieranie społeczeństwa obywatelskiego to wręcz świetny interes. Gdyby oszacować kwoty wydatkowane z przeróżnych źródeł – budżetu europejskiego, centralnego, samorządowego, z prywatnych fundacji itd. – na ten cel, okazałoby się, że istnieje osobny sektor finansowo-gospodarczy, którego celem jest udawanie, iż wspiera się aktywność społeczną, że zachęca się ludzi, aby wzięli sprawy we własne ręce. Ale przecież gdyby na serio tak uczynili, to cała zabawa w ich wspieranie straciłaby rację bytu...

Faktyczną demokrację warto by wesprzeć. „Wielka polityka” odzwyczaiła nas od wcielania w życie swoich zamysłów – uważamy, że „ktoś powinien coś z tym zrobić”. Wielki biznes oduczył organizowania się dla celów socjalno-bytowych – on nam wszystko poda na tacy, bylebyśmy zapłacili. Wielkie media

oduczyły zdobywania informacji i weryfikowania ich – mamy łykać podawaną papkę, a wszelki krytycyzm i zaangażowanie ograniczyć do zmiany kanałów. Dominujące wzorce kulturowe oduczyły współdziałania – bo przecież bogiem dzisiaj jest nasze ego, „tylko silni przetrwają”, a wszystko, co wykracza poza czubek własnego nosa, to nieżyciowy idealizm i frajerstwo. I wreszcie, na koniec, coraz bardziej sztuczne, zapośredniczone życie, w otoczeniu tysiąca gadżetów, nacechowane notorycznym „brakiem czasu” – oduczyło nas elementarnych postaw zbiorowych. Wspólnota losów i działań ogranicza się coraz częściej w krajach Zachodu do kręgów hobbystycznych, do rozmaitych fan clubów i zwolenników określonego lifestyle’u, zaś w krajach mniej „nowoczesnych”, ale już nie tradycyjnych, jak Polska, oznacza izolację na poziomie „życia rodzinnego”.

Oczywiście jest to na rękę władcom tego świata. Tu nie potrzeba żadnych teorii spiskowych – wystarczy spostrzegawczość. Niezwykle łatwo rządzi się społecznością podzieloną na setki i tysiące niewielkich grup, wzajemnie obojętnych, a nawet wrogich, nacechowanych podejrzliwością i niechęcią wobec dobra wspólnego. I może dlatego to „wspieranie demokracji” nie przynosi żadnych efektów. Bo chyba o to chodzi, żeby tak wiele się zmieniło, lecz wszystko zostało po staremu.

W takiej sytuacji rzeczywiste wsparcie zaangażowania społecznego byłoby niezwykle pożądane. Zamiast tego mamy jednak rozrost barier, które uniemożliwiają jego powstanie, umocnienie się i wywalczenie realnego wpływu na rzeczywistość. Cała para zbiorowej aktywności – a w Polsce jest ona z przyczyn historycznych i tak znacznie słabsza niż w krajach Zachodu – idzie w gwizdek. Zza szczytnych sloganów i transferowanych sporych kwot finansowych wyłania się szara rzeczywistość pseudowartości, pseudozaangażowania, pseudoinicjatyw. I jak najbardziej realnych przeszkód instytucjonalnych, finansowych i kulturowych, które niszczą w

zarodku autentyczne przejawy aktywności społecznej.

(...) Chcemy faktycznej demokracji – i chcemy jej teraz!

Autor: Remigiusz Okraska

Źródło: [„Obywatel” nr 3 \(47\) 2009](#)